

T

Trzy lata temu ukazał się w „Rzeczpospolitej” mój krótki artykuł o zamordowaniu lwowskich profesorów. Gdy gazeta już się drukowała, szperając w sieci, napotkałam anonimowy wpis w Salonie²⁴ dotyczący zbrodni. „Summa fecit – historycy jakoś się do badania tego fragmentu historii nie palą, dziennikarzom jest on obojętny, IPN się poddał – pisze bloger. – Na szczęście pokolenie wojenne już niemal całe wymarło, następne będzie pamiętać słabiej. Wnuki zapomną”. Buntuję się: „O, nie wszystkim!”.

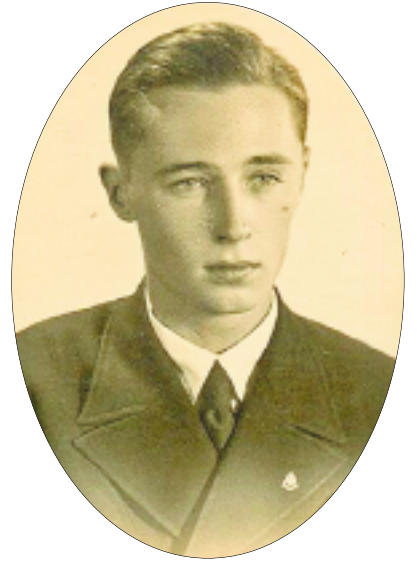
Piszę do autora e-mail: „O egzekucji wiele razy, w domu, opowiadał mi świadek. A Ty?”. „Ja też. Moją babcią była Janina Cieszyńska, córka Antoniego” – odpowiada Piotr Stec. Profesor Antoni Cieszyński, dziekan Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza, zginął na Wzgórzach Wuleckich 4 lipca 1941 nad ranem, w grupie 40 Polaków, w większości naukowców. Sądziłam, że pamięć o nich i pozostałych ofiarach tragicznego lipca żyje tylko w starszych ludziach, rokrocznie spotykających się pod pomnikiem koło Politechniki Wrocławskiej, upamiętniającym zamordowanych.

Obudziła nas salwa

W styczniu 2011 roku w trakcie porządkowania archiwum dziadków znajduję cztery poślizgnięte kartki. Zbigniew Stuchly: „Wspomnienie”. Delikatnie rozkładam rękopis:

„Obudziła nas nad ranem salwa strzałów karabinowych. Zerwałem się z tapczanu i podszedłem do okna. (...) Na polu, od Bursy Abramowiczów szły wolnym krokiem grupki po kilka osób, z tem, że w jednej z nich był niesiony jakiś człowiek na płaszczu. Pochód ten zbliżał się do stoku wzgórza, na którym stała jedna grupa twarzą zwrócona w moim kierunku, a przed nią, tyłem do mnie, niemieccy żołnierze z bronią. Stojących ludzi widziałem tylko do pasa, gdyż dolną część ich ciał zakrywało sfałdowanie wzgórza. Widziałem, jak stojący ludzie przeznegli się wielkim znakiem krzyża na piersiach, potem nastąpiła salwa. Padli, już ich nie widziałem. Tylko jeden wojskowy stojący z boku przechodził i pochylając się, dostrzeliwał z pistoletu. Obraz ten był przerażający, tragiczny. Wstrząśnięty, starałem się opanować i nie powiedzieć żonie niczego. Po powrocie do sypialni wyjaśniłem, że oficerowie niemieccy przestrzelują broń. Żona moja nie odezwała się wcale, a później powiedziała mi, że wiedziała, iż nie mówię prawdy, i że wiedziała, że dzieją się jakieś straszne rzeczy”.

Egzekucję na Wzgórzach Wuleckich obserwował dziadek z mieszkania przy ul. Małachowskiego 2 (dziś Ostrogradskich). Oprawcy zgładzili wówczas nie tylko naukowców, ale też żony i potomków niektórych z nich. Wraz z nimi miały zginąć nazwiska znakomitych rodzin oraz świadków ich losów. W 2001 roku na zebraniu założycielskim Związku Potomków Lwowskich Profesorów



■ Prof. Roman Longchamps de Bérier zabity razem z synami Bronisławem i Zygmuntem

Wnukowie pamiętają

ALEKSANDRA SOLAREWICZ

4 lipca 1941 r. nad ranem na Wzgórzach Wuleckich Niemcy zamordowali profesorów lwowskich uczelni. Była to część rozprawy z polskimi elitami



■ Prof. Antoni Cieszyński

Zamordowanych przez Gestapo w lipcu 1941 r. we Lwowie odnotowano, że żyje 13 ich potomków i dwóch krewnych w linii bocznej (o tyłu wiedzieli założyciele). Dziś, w 70. rocznicę, żyją dzieci pięciorga ofiar zbrodni: Jan Longchamps de Bérier (obecny w mieszka-

niu ojca ocalał, bo nie było go na liście – miał dopiero 12 lat), Stanisław Grzędziński, Zbigniew Kostecki, Barbara Hamerska-Chrobak i Cecylia Bartel. Prezesem Związku był zmarły w ubiegłym roku prof. Tomasz Cieszyński, brat Janiny, wykładowca wrocławskiej AM.

W 1941 r. ocalał dzięki przytomności matki, która podała aresztującym, że syn ma 17 lat – a nie – jak miał faktycznie – 20. Cudem uratowali się też jego siostra i szwagier Janina i Marian Puchalikowie. Mieszkali razem. Prof. Antoni Cieszyński kupił tuż przed wojną duży dom. Przeszukujący go żołnierze nie zorientowali się, że istnieją drzwi, które prowadzą do drugiego mieszkania. Marian Puchalik także był naukowcem, później profesorem fizyki na Politechnice Śląskiej.

Profesor Tomasz Cieszyński całe życie poświęcił na dochodzenie do prawdy o zbrodni, którą nazywał bez ogródek ludobójstwem. Gromadził dokumenty, relacje świadków wydarzeń. Zeznawał w śledztwie prowadzonym przez IPN. Kierowany przezeń Związek podejmował próby wytoczenia powództwa o odszkodowanie przed sądami niemieckimi. Skierował memoriał do prezydenta Niemiec Johannesera Raua i prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmy. Domagał się od nich wyrażenia żalu i potępienia zbrodni. Po śmierci prof. Cieszyńskiego rozsiani po świe-

cie członkowie Związku Potomków gromadzą się na listach mailingowych, wokół serwisów poświęconych Kresom. Nie zawsze można do nich dotrzeć, kierując się nazwiskiem znanym z kart historii. Im dalsze pokolenie, tym trudniej.

Jeszcze w 2001 roku w protokole z zebrania Związku Potomków odnotowano: „Nie udało się odnaleźć córki profesora Bartla”. Dziewięć lat później razem z prof. Cieszyńskim Cecylia Bartel zasiadła w komisji honorowym budowy lwowskiego pomnika zamordowanych profesorów.

Jechać do Lwowa

Im bardziej moi dziadkowie posuwali się w latach, tym częściej ich gosposia Ukrainka słyszała rozmowy o utraconym mieście. Do mnie powiedziała kiedyś: „Ja się nie dziwię Polakom. Lwów jest piękny”. Teraz, po śmieci dziadków, ich miasto skurczyło

się dla mnie do wiadomości na temat pomników i tablic, napisów starych i nowych, świeżo wykutych i zacieranych. Jak dotąd nie potrafiłam się przebrać, by skonfrontować ze sobą dwa lwowskie światy, ten dziadków i ten dzisiejszy. - Ja też nigdy tam nie byłam - przyznaje Piotr Stec. - Trochę jest tak, że mam świadomość, iż Lwów ze wspomnień moich dziadków nie istnieje. Więc to, co zobaczę, nie będzie tym, co się ostało w pamięci. Co do moich rówieśników w rodzinie - chyba tak samo: nikt się dotąd, o ile pamiętam, nie wybrał - dodaje.

We Lwowie bywa Anna Żarnowiecka, córka dr. Jana Longchamps de Bérier i wnuczka zamordowanego prof. Romana Longchamps de Bérier. Jeżdżą również jej dzieci. Pani Cecylia Bartel była tam dotąd tylko raz. Dzięki Stanisławowi Kosiedowskiemu (redaguje ceniony serwis Lwow.com) poznaję aktywnego członka Związku Potomków. To dr Zbigniew Kostecki, lekarz mieszkający w Niemczech. Na prowadzonej przez siebie stronie Polonia.org pokazuje mi zdjęcie z 2001 roku, wykonane przy tzw. starym pomniku na Wzgórzach Wuleckich. To żelazny krzyż, postawiony w 1995 r., i później umieszczona tablica z nazwiskami ofiar. Ufundowali je: Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi, któremu przewodził Eugeniusz Cydzik, i konsul generalny RP we Lwowie. Przy tym właśnie krzyżu spotkał się dr Kostecki, prof. Cieszyński z siostrzenicą Ewą Müller i dr Jan Longchamps de Bérier. Gdy piszę do dr. Kosteckiego e-mail z prośbą o kilka słów osobistych wspomnień, natychmiast proponuje rozmowę telefoniczną.

Noc morderców

Ja w to miejsce wybrałem się dokładnie 4 lipca o świcie. Chciałem być w takim momencie. Spróbowałem sobie wyobrazić tę scenę - wypowiedzią przez ścisnięte gardło. - Niech pani pomyśli: jednej nocy jacyś ludzie zabierają z boksów 30 psów i zabijają te zwierzęta nad wykopany dołem. Bo oni właśnie zostali zabici jak psy: bez wyroku, bez sądu.

Jego ojciec Eugeniusz Kostecki był mistrzem szewskim. Feralnego dnia przebywał w domu prof. Władysława Dobrzańskiego, gdzie jego żona Józefa była gospodynią. Kaci zabierali wszystkich mężczyzn powyżej 18. roku życia. Zapytali, czy należy do służby, a gdy zaprzeczył, zaarrestowali. Żona

była w dziewiątym miesiącu ciąży. Ostatnie tygodnie spędziła, chodząc do niemieckich urzędów. Szukała wieści o mężu.

Niedawno dr Kostecki poznał niemieckiego historyka Dietera Schenka, autora książki „Der Lemberger Professoren-mord und der Holocaust in Ostgalizien”, której przekład pod tytułem „Noc morderców. Każd polskich profesorów we Lwowie. Holocaust w Galicji Wschodniej” ukaże się jesienią tego roku w wydawnictwie Wysoki Zamek.

Schenk nie pozostawia suchej nitki na swoich rodakach. Niemcy byli organizatorami i wykonawcami zbrodni. Autor obnaża ich brutalność, a po wojnie skuteczne blokowanie śledztwa i zbywanie polskich wniosków. Zajmuje się też sprawą, która do dziś dzieli Polaków i Ukraińców. W Polsce utrwała się opinia, że egzekucji dokonał złożony z Ukraińców niemiecki batalion Nachti-gall. O tym, że brał on udział w aresztowaniach, powiedział prof. Zygmuntowi Albertowi Aniela, żona prof. Romana Longchamps de Bérier. Taką informację otrzymała w lwowskim gestapo. Prof. Zygmunt Albert w pracy „Każd profesorów lwowskich w lipcu 1941 roku” przywołuje słowa hamburskiego prokuratora, według którego Ukraińcy w mundurach SS (użyli też przez Niemców jako tłumacze) byli w ekipie rozstrzeliwującej. Schenk uważa inaczej. Twierdzi, że ukraińska milicja brała udział w aresztowaniach (jako tłumacze), ale strzelali Niemcy - Einsatzkommando do zadań specjalnych pod dowództwem Eberhardta Schöngartha. Doktor Kostecki: - Jestem przeciwny potępianiu całego narodu. Zdarzyło mi się niedawno, że jakiś Niemiec zaczął mnie przeproszać, że to przez nich... mój ojciec i inni... Czulem się niezręcznie.

Kontrowersje dotyczą tego, kto sporządził listę przeznaczonych do rozstrzelania. Z przekazów pokolenia wojennego, m.in. prof. Karoliny Lanckorońskiej, wynika, że Ukraińcy. Tak podają też prof. Albert i Schenk. Ukraińcy to odrzucają. Prof. Grzegorz Hryciuk sądzi, że listę do rozstrzelania mogli sporządzić sami Niemcy ze Lwowa.

Pomnik w parku Studenckim

Potomkowie kontynuują tradycję naukową. Syn lekarza docenta Jerzego Grzędzińskiego Stanisław jest profesorem astronomii, pra-

cownikiem PAN. Dr hab. Piotr Stec jest prawnikiem i wykłada na Uniwersytecie Opolskim. Pracę naukową jako inżynier prowadził też dr Jan Longchamps de Bérier. Ks. prof. Franciszek Longchamps de Bérier jest prawnikiem jak jego dziadek i stryjeczny pradziad, pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego i Jagiellońskiego. Jak potwierdza dr Kostecki, przykładów można by przytoczyć więcej.

Moi rozmówcy nie mają kontaktu z lwowskimi uczelniami. Nikt nie szukał kontaktu z nimi. Ale profesor Franciszek Longchamps de Bérier miał gościnne wykłady na Uniwersytecie Iwa-

kim. W budynku głównym znajduje się tablica ku pamięci dziewięciu „profesorów i docentów Politechniki Lwowskiej”, którzy zginęli z rąk hitlerowców na Wzgórzach Wuleckich w lipcu 1941 r. Nie ma na niej wzmianki o narodowości ofiar. Wszyscy zamordowani są też upamiętnieni tablicą w lwowskiej katedrze łacińskiej.

Uniwersytet Jagielloński przyznaje nagrodę im. Stanisława Kutrzeby w dziedzinie ochrony praw człowieka w Europie. Ufundowały ją Uniwersytet Ruprechta-Karola w Heidelbergu oraz Instytut Maksa Plancka dla uczczenia pamięci profesorów UJ, ofiar „Sonde-



■ Prof. Kazimierz Bartel z córką Cecylią

na Franki. Tak przemianowano już w 1940 r. Uniwersytet Jana Kazimierza, gdzie wykładał Roman Longchamps de Bérier.

Czy słyszeli o formach upamiętnienia krewnych przez dzisiejszych mieszkańców Lwowa? - Wujek Tomek miał kiedyś powiedzieć, że w Uniwersytecie Medycznym jest tablica poświęcona prof. Antoniemu Cieszyńskiemu - mówi Piotr Stec. - Chcemy ją odszukać. Jerzy Janicki wspominał w 2003 r., że zwiedzał muzeum w budynku głównym tej uczelni i widział tam gipsowy model pomnika - niezrealizowanego projektu prof. Emanuela Myśliki z lat 70.

W tegoroczne obchody zaangażowała się, również finansowo, Politechnika Lwowska. Nowy monument stanie w należącym do niej parku Studenc-

raktion Krakau” z 6 listopada 1939 r. Marzeniem prof. Tomasza Cieszyńskiego była fundacja im. profesorów lwowskich, wspierająca młodych polskich naukowców. Środki zamierzał pozyskać z odszkodowań, o jakie starał się w niemieckich sądach. Nie udało się - oprawy nigdy nie zostali osądzeni, a śmierć profesora przerwała jego zabieg. Jednak podobna idea urzeczywistniła się w Krakowie. To Fundacja im. Profesora Kazimierza Bartla. Jej założycielka Cecylia Bartel jest córką Kazimierza Bartla, pięciokrotnego premiera II RP i rektora Politechniki Lwowskiej. Postawiła sobie za cel wspieranie kształcenia młodzieży, a zwłaszcza przyczynianie się do ograniczenia wykluczenia edukacyjnego związanego z ubóstwem. Z myślą o młodszym poko-

leniu do Muzeum Historii Polski pani Bartel przekazała dwa duże kartonowe pudła pełne pamiątek. Gdy Niemcy chcieli spalić bibliotekę profesora, pamiątki ratowali i z narażeniem życia przekazali wdowie jego studenci.

Anna Żarnowiecka: - Zawieruchę wojenną przetrwała jeszcze jedna rzecz, niezwykle dla mnie cenna. List mojego dziadka Romana Longchamps de Bérier do syna Zygmunta z okazji zdanej przez niego matury. Oto jego fragment:

„Całe moje życie nauczyło mnie, że ten, kto umie poświęcić rzeczy drugorzędne dla rzeczy głównej i potrafi przypomnieć się do trwałego wysiłku, zawsze dochodzi do celu. Ludzie, z którymi mamy do czynienia, mimo wszelkich swoich wad i słabości, różnic przekonań i kultury, umieją zawsze ocenić naszą wartość wewnętrzną i zdolność do owocnej pracy i według tych walorów do nas się ustosunkowują. (...) Dlatego obierz sobie taki zawód, w którym miałbyś moralne zadowolenie, który odpowiada Twoim skłonnościom i zdolnościom, bo tylko w takim zawodzie będziesz pracował z zadowoleniem i z zapalem i uzyskasz sukcesy pozytywne dla narodu i państwa, a Tobie dające satysfakcję i uznanie. Powodzenie materialne przyjdzie wówczas samo z siebie, jeżeli tylko będziesz gospodarował rozumnie i wystrzegał się lekkomyślnych kroków”. Lublin, 25 maja 1937 r.

Autor listu i jego syn Zygmunt zginęli zamordowani na Wzgórzach Wuleckich.

Polskie starania o pomnik we Lwowie zaczęły się, zanim powstała niepodległa Ukraina. Trwały dziesiątki lat. Teraz wreszcie stanie. Ufundowały go Wrocław i Lwów, Politechnika Lwowska i ludzie dobrej woli.

- Niech on uniknie pułapek różnych interpretacji, niech pozwoli zostawić trwałe ślad, nawet mniej o strasznej zbrodni, ale o uniwersalnych wartościach, które wyznawali pomordowani, o ich dokonaniach, które budowały te wartości - mówi Cecylia Bartel.

Lwowski pomnik poświęcony jest pomordowanym „lwowskim uczonym”. Nie mówi nic o ich narodowości. - Dla nieznanego historii turysty czy nawet Ukraińca będzie jasne, że pomnik czci pamięć ukraińskich uczonych. Nie Polaków. Po raz kolejny, przy kolejnym pomniku, z jakiejś przyczyny polskość profesorów lwowskich przeskądza - mówi ze smutkiem Piotr Stec. ■

Niedawno obchodziliśmy 20. rocznicę podpisania traktatu o dobrym sąsiedztwie z Niemcami. Chciałem dołożyć, jako ekspert od tych i wcześniejszych spraw, swoje wspomnienie.

Rok 1971. Kręcę w RFN z Andrzejem Wajdą jeden z jego najlepszych filmów „Piłat i inni”. Film na zamówienie drugiego programu ZDF telewizji niemieckiej, oparty na jednym z wątków powieści Bulhakowa „Mistrz i Małgorzata”. To jedno z moich najmilszych filmowych wspomnień. I zagranica, i dobra rola, i należyta kasa. Miałem zagrać szefa policji Afraniusza. Andrzej przygotował dla mnie kostium z epoki, ale powiedziałem, że lepiej by było, gdybym zagrał współcześnie. I tak się



ANDRZEJ ŁAPICKI

stało. W domu towarowym kupili mi ubranie - granatowe, jak na policjanta przystało. Płaszcz, ciemne okulary, no, tajniak.

Kręcimy wieczorne ujęcia koło Wiesbaden. Mam teraz „wolną scenę”, a Pszoniak (Chrystus) gra scenę z Perepeczką (Centurion Marek Szczurza Śmierć). Podałem Wajdzie pomysł,

Adolf

żeby ten straszny morderca miał naturę dziecka i dla relaksu budował modele pociągów. Zresztą wiele rzeczy wymyśliliśmy wspólnie, przeważnie przy wieczornych biesiadach. Było to bardzo ekscytujące. Tak jak z szukaniem tytułu. Każdy rzucał jak najgłupsze pomysły. Ja dostałem pierwsze miejsce za „Ostatnią miłość Poncjusza

Piłata”. Potem to miał być „Film na Wielki Piątek” - największe święto w Kościele ewangelickim, no i w większości Niemiec. Stało na „Piłacie i innych”. To już wolałem „Ostatnią miłość...”.

No, ale zacząłem od tego, że mam przerwę, a koledzy ujęcie. Ponieważ niedaleko była knajpa, siadłem w cieniu z piwkiem. Pusto, tylko jakiś Niemiec samotnie sączy trunek. Popatruje na mnie i w końcu zagaduje: „Polska?”. Potwierdzam. Niemiec bierze kufel, podchodzi i grzecznie pyta, czy może się przysiąść. Zezwalam, bo niby dla czego nie. Chwila milczenia. W końcu Niemiec zaczyna: „Ten Adolf nie był taki zły... Przynajmniej zostały po nim autostrady”. Coś mruknąłem i milczę dalej. Znowu Niemiec: „Warschau?”. Mówię, że tak. Rozpromienia się. „Stacjonowałem pod Warszawą” -

nie pytałem, w jakiej formacji - „w Ledzionowie” (tak właśnie, z włoska, wymówił „Legionowo”). Po chwili ciągnie dalej: „Było tam dużo dzieci. Głodne były, zawsze dawałem im żupę, czasem czekoladę. Bardzo mnie lubiły, ale raz wydarzyło się coś, czego do dziś nie rozumiem. Jadę na urlop, obciążony plecakiem, karabinem, prezentami, jak to z urlopu, dla rodziny. Nawet gęś wiozłem. Kolega mnie podrzucił na Warschau Hauptbahnhof. Wsiadłem i nie mogę się pozbierać z moimi kłopotami. Pod murkiem stoi kilku chłopczków, tak po dziesięć, dwanaście lat. Kiwam na jednego, żeby mi pomógł. On nic. Wyjmuję czekoladę, pokazuję, że dla niego. On nic. Nawet się nie ruszył. Do dziś nie rozumiem dlaczego. Może mnie nie rozumiał?”.

Cisza. Łyk piwa. „Ale ten Adolf nie był taki zły...”. ■